ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 26 sierpnia 1922 roku. № 34.

Juljusz German. Powieść.

34) TWARZ Z ZA KURTYNY.

— Pan inspektor mnie przysłał, żebym pana wyprowadził.

Bronicz przesunął rękami po czole, zerwał się żywo.

Odejść, odejść stąd czemprędzej!

Śniło mu się? Zdarzyło się to kiedyś naprawdę? I tak właśnie?

Wyszli za bramę więzienną.

Odetchnął z ulgą rzeźwem surowo powietrzem świtu.

Naprzeciw szedł pluton piechoty równym, miarowym ciężko krokiem, w chrzęście rzemieni i broni.

Na czele oficer. Niewielkiego wzrostu. Pod stalowym kaskiem chuda, służbisto skrzepła twarz, z zachodzącym na policzki zarostem, jak na portretach księcia Józefa.

Ten sam, którego już widział! Ten sam, nikt inny!

I w pierwszym odruchu niesłychanego zdziwienia podniósł Bronicz dłoń do kapelusza.

Oficer zwrócił na niego oczy. I spojrzał jakby go znał.

Zasalutował szablą.

9.

ISKRY KU GWIAZDOM.

Z rozjarzonych uroczyście okien balowej sali padały strugi odświętnego blasku w noc, murami kamienic zamkniętą.

Opar tych blasków kładł się jak poświata złotej kąpieli na odkryte ramiona kobiet, przewijających się w perfumowanym wirze tańca.

W lekkiej powłoce przejrzystych sukien snuły się bladoróżowe ciała rytmicznie lotnym ruchem, z przyziemnego ciężaru próbującym wyrwać się w uśmiechu.

— Witajcie uśmiechy — myślała Mela, rozchylając usta świeżością malin wilgotne, w półsennem poddaniu objęciom tancerza—uśmiechy płynące z powłóczystą melodją muzyki, uśmiechy — prośby do nieznanej a najwyższym wykwitem życia żywej mocy o mrocznych szczęść spełnienie, zapędy wciąż głodnej tęsknoty w chwilę przyszłą, która może dać wszystko, a rozwiewa się niczem...

Może dać wszystko... Daj, łaskawa. Nie żebrzę, śmieję się do ciebie... I moja tęsknota wciąż spragniona...

Zamajaczyła przed nią zaćmiona chmurną dalą twarz Bronicza.

— Ty, coś po drodze mnie wziął, idąc dalej, gdybyś chciał, byłabym tylko twoja... Czemuś nie przy mnie teraz, nie przy mnie? Że szukać muszę, choć kocham...

Z oczekującym niepewnie połyskiem jej źrenic związał się wzrok mężczyzny, piersią w pierś zbliżonego do niej w tanecznym oplocie. Były to w gładkiej twarzy blondyna oczy młodzieńczą surowością zacięte, ironiczne i smutne.

Wdzierały się w światło jej spojrzenia tlejącemi płomieniami myśli, wpółobnażonych jak ona sama, ostrych w lęku przed niepojętą samotnością, o zrozumienie daremnie proszących:

„Obejmuję cię wśród patrzącego tłumu prawie tak, jak w ukryciu do pierwszego pocałunku przygarnia się kochankę. Już wiem, jak pachniesz, i chęć moja najskrytsza, niewiadoma mi nawet, woń tę pozdrawia niespodziewaną radością. Och, ilu kobiet pieszczonych obcy był mi zapach tajemny! Te dwie czy trzy kropelki potu, które perlą się srebrnie na twoich ramionach, nie są mi cudzej cielesności nienawistnym znakiem, lecz słodką zapowiedzią, że wszystko u ciebie dla mnie ładne. Już wiem, że twoje usta to nie kształt obojętny, człowieczy, ale kwiat, w którym mógłbym szukać tajemniczego oddechu kochania. I za parę minut wywiniesz się z mego uścisku, padnie między nas nieubłaganie zimna przegroda oddalenia. I co zostanie? Blada, cmentarna pamięć, całunowo bezsilna, pragnienie nad wyschłą cysterną schylone, rwąca się mętnie nić marzeń: jakby być mogło... Więc pewnie jeszcze dziś w nocy wezmę sobie jakąś kobietę, z tych, które prawem odwiecznego szyderstwa można mieć odrazu, by stłumić to wszystko tępotą zaspokojenia, w oszustwie ostatecznej rozkoszy myśleć o tobie"...

Z tej mowy jego oczu, wnętrzem myśli świetlnej, zrozumiała tylko bezradny krzyk najszczerszego pożądania, rzucony w urodę jej ciała, jak powiew wichru w krąg bezbrzeżny fal...

Pojęła tylko, że zatrzymała się na niej prawda oczywista cudzej tęsknoty, odzewem zbliżenia gorąca, i ta świadomość owiała ją silniejszem poczuciem własnej istności, uciechę w krwi budząc łagodną, różowiąc powabniej czerwień warg i żar oczu niepewny rozświetlając czyściej.

Bo znów zagrała w nich nadzieja miła, choć zawiedziona tyle razy, ciągle ufna, że za ciemnym porywem rozpłomienionych ku niej zmysłów kryje się jasna toń, tęczowym odmętem niewymarzonych możliwości promienna...

Że z tych źrenic, patrzących ironicznie i smutnie w jej lica, idzie nieujęte żadną granicą światło snów, które nie zamyka przyszłości w skalną cieśninę tego, co będzie, lecz rozprzestrzenia ją w stubarwną krainę: jakby być mogło...

Szepnęła, opierając się silniej na jego ramieniu:

— Pan nie potrafiłby określić teraz słowami ani swych myśli, ani, czegoby pan teraz dokładnie chciał.

— W tej chwili—odpowiedział głos drżący, zadyszany,—czegobym pragnął w tej chwili... Czy to trudno poznać?

— Miłości ze mną — spojrzała mu wprost w oczy—ale jakiej?

Taneczny lot, miękko falisty unosił ich wkoło przytulonych do siebie.

— Jakiejby tylko pani chciała...

— Nie wiem, nie wiem, jakiejbym ja chciała...

Z jedwabnego kielicha czarnej sukni wychyliła się pełniej biel piersi wyniosłych, mrokom rozkoszy odważne pozdrowienie piękna.

— Jakby być mogło — płynęła myśl Meli w takt tonów zawodzących a słodką niecierpliwością nabrzmiałych. — Porwałby mnie, porwał... Nie jak Bronicz, który rozkaz żelaznej woli całej mojej istocie władnie narzucił, żem zwyciężona we wstydzie i dumie i gorejąca radośnie przyszła odrazu niby chętna branka, na łaskę i niełaskę poddająca się z uśmiechem, branka jego oczu tnących hartownie dal i wszystko, co w niej grozi... Nie, tenby mnie zabrał inaczej. W spojrzeniu ma lęk i smutek i błyski żarłocznej, gryzącej rozpaczy. To jedno z tych spojrzeń, które oślizgują się po mnie drapiąco, skórę na ramionach i szyi mi palą, jak pazurami chcą chwytać... Czemu takie złe wszystkie, kąśliwo ponure? Cóżem im winna? Co Henryk kiedyś powiedział:

„Gdy taki wilczo, zachłannie patrzący raz się wścieknie"...

Drgnęła nagle ostrym dreszczem bojaźni, uczuwszy, jak, niby jej myślom do wtóru, mocniejszem, gwałtownie szorstkiem szarpnięciem opasały ją ręce mężczyzny, jak dłoń jego przez tkaninę sukni wpiła się ciasno w jej plecy.

Cofnęła twarz w tył przed jego wzrokiem zmętniałym, świecącym jak szklana masa w płomieniu zastygła.

— To są oczy nieżywe, — uderzyło w nią przejmującem zimnem wrażenie, nieprzyjazną wieścią posępne.

— Oczy, które nie widzą...

— Z takiemi oczami nachyliłby się nademną..

Wirująca głębia sali zakołysała przed jej otwartemi źrenicami kolorową mgłą.

— Wracałabym z balu... Stoję na schodach wiodących na ulicę, wiew zimowej nocy odświeżającem całowaniem koi żar rumieńców, zatulam w futro ciało gorące, tańcem spłomienione. Uśmiecham się do ciemności, nie wiedząc, o co chcę ją prosić... a o coś prosić chcę. Porywa mnie, błyskawicą zaskoczenia otępia, wrzuca do karety, uwozi. Migocą skrawki świateł obłąkanych, ustami na moich ustach dusi krzyk. Gryzą mnie wargi drapieżne, bezlitosne, spiekłą gorączką zionące, bez kształtu, nieludzkie. Bronię się, biję rękami wokół siebie, przygniata mnie kamieniem bezwładu cudzy ciężar ciepły, nienawistny. Ach, tego nie chciałam nigdy, nie potom ładna i biała, nie po to! Omdlałą, z sił wszystkich w daremnej obronie wyzutą, wynosi na rękach, włóczy zwisającą po schodach, roztarganemi włosami je zamiatam. W jakimś obcym pokoju, przy mdłej a bezwstydnie usłużnej lampie... Zszarpuje suknie, w szmaty drze je, w strzępy, przywiązuje mnie za ręce i nogi do rogów łóżka, dyszący, w jękliwym, zajadłym tryumfie. Boleść i złość dzika drga mu w twarzy. Jak do tortury przygotował... I sam w męczarni... Każdą cząstkę mego ciała czuję jako rzecz ciężką, potworną, osobną... Gubię się w nich... Ktoś syci się, nie, chce tylko sycić się tem wszystkiem... Ktoś, kogo czuć mordem... Te oczy nieżywe, szklaną powłoką mętne, najwyższej ślepoty pełne oczy w najbliższym ludzkim uścisku...

Nie! Nie! A takby być mogło...

Zatrzymała się w tańcu, usta do okrzyku wpół rozwarła. Oprzytomniała, gdy, jej chęci niewymówionej powolnie, rozluźnił się na niej splot objęcia, w pokornym żalu, jakby z czułem przeproszeniem za krzywdę, i gdy smutkiem ciemne spojrzenie osunęło się po jej źrenicach.

— Nie chce pani już tańczyć ze mną? Raz jeszcze wokoło sali, raz jeszcze...

— Dobrze... Jeśli pan na moje pytanie odpowie prawdą najgłębszą, zupełną...

— Po głosie moim, po oczach pani się przekona...

— Po oczach... Czy pan przed momentem nie myślał... niech pan się nie dziwi, czasem budzi się we mnie półdzika kobieta ze stepu, która z obłudy gładko ułożonych słów się śmieje... czy pan nie myślał teraz o owładnięciu mną jakiemś szalonem, brutalnie, wbrew mojej woli?

— Tak jest — rzekł krótkim, syczącym szeptem i wzrok mglisty oczyścił mu się przenikającym grotem nagłego cierpienia.—Nieinaczej. Wszystko złe chciałem uczynić tej urodzie, wypić ją płomiennie, choć drgnieniem jednem ku mnie nie otwartą, żeby już nie istniała dla nikogo...

— Wszystko złe... Tak, pan nie skłamał — uśmiechnęła się prawie radośnie, patrząc w jego twarz z zadumaniem, rozdzierającem miękko szarą między nimi mgłę obcości.— Czułam to, a jak wyraźnie... Co to za siła nieznana, jakie światła niewiadome lśnią w myślach, tajemnicze promienie... Gdyby ludzie potrafili je wyjawić, jakim innym byłby widok świata, jakiemi nowemi kwiatami rozrosłoby się życie... nieskończone, ukochane...

— Dziwna jest pani. Pół słowiańska bakchantka, pół święta rozmarzona w ekstazie...

— Czy to tylko ja jedna? Dziwnie mi podczas tego balu? I dlatego mówię tak śmiało, poprostu, nie bacząc na to, gdzie jestem i że z panem pierwszy raz rozmawiam. Dziwnie mi. Jakbym czekała na coś, co ma się stać zaraz, co się dzieje koło mnie, a czego nie widzę...

— A teraz myślę o pani znowu inaczej — szepnął jasno brzmiącym głosem, w którego dźwięku smutek do dalekich uśmiechów słał modlitwę.

— Więc tańczmy... raz jeszcze wokoło sali...

Ogarnął ją na nowo w ramiona. Twarz zbliżył do jej lic, że widział dokładnie frendzle jej rzęs misterne, delikatny mech nad ustami, graniczną linję wygięcia ich różaną. I ze zdziwieninm uczuł wdzięczność dla niezbadanej mocy, że ona—człowiek żywy, jak on sam—jest stworzeniem bożem.

Któż rozrzucił na niej w mistrzowskiem dziele łagodnego piękna ponętę czarownych kolorów, kto zaokrąglił w harmonijnej pełni zarysy ramion tych, piersi i bioder w cudne westchnienia tęsknoty, ukazującej błędną drogę w szczęście? Czyj geniusz układa jej lica w zagadkę anielskich powabów?

Nieprawda, nieprawda, że pod zachwycającym wdziękiem owych barw i kształtów ciecz krwi się kłębi i wznosi się rusztowanie kości! Nieprawda! To stworzenie boże!

W akordach muzyki, drgających żałośnie i szyderczo echem pieszczot niespełnionych, unosił w powiewnym kręgu uśmiechniętą, z przymkniętemi oczami, pragnieniom tajemnej szczerości coraz bliższą.

I zasnuwał na niej obręcz marzeń, w beznadziejnym pospiechu się rwących, prawdą upodobania serdecznych.

Jakby być mogło...

Na tle stalowosrebrnych, przełykanych błękitem wód morza, rozrzuconych w groźbę ogromu, wchodziłaby na piasek brzegu, na horyzoncie bezbrzeżnym posąg jedyny, białością mew biały, Rosą fal operlona, zbliżyłaby się do niego, czarną smugę królewskich warkoczy rozpuszczając z wichrem, mając w spojrzeniu grozę i słodycz objawionej wreszcie tęsknoty. I zwoliłaby, w słońcu weselna, by te perły pocałunkami zebrał z jej ciała, bezcennych klejnotów pan szczęśliwy...

DALSZY CIĄG NASTĄPI.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

28) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Sawinski nie odpowiedział. Czuł rękę Lydji w swojej dłoni. Był to uścisk, którego nic nie mogło rozłączyć. Doznał wrażenia, że pójdzie tak z nią bodaj na śmierć.

Zaczęła się rewizja. Przetrząśnięto biurko i nic nie znaleziono. Pod tym względem Sawinski był spokojny. Nie miał u siebie ani jednego kompromitującego świstka. Zresztą, odkąd miał Lydję przy sobie, odzyskał całą zimną krew. Zdawało mu się, że patrzy na jakieś widowisko, w którem sam nie bierze żadnego udziału. Nerwy jego po tylu wstrząśnieniach były zupełnie wyczerpane. To też z pewną ciekawością patrzył na obu komisarzy, kierujących poszukiwaniami. Brali się do tego dosyć niezręcznie.

— Nie znają swego rzemiosła— myślał. — Dawniejsza policja była sprawniejsza.

Nie znaleźli nawet znacznej sumy w banknotach, którą Sawinski ukrył pod dywanem. Ale przy baczniejszem wpatrzeniu się niezręczność ich wydała się Sawinskiemu sztuczną. Tak; widocznie, udawali, że szukają gorliwie, aby ich czerwonogwardiejcy nie zadenuncjowali; ale chcieli również, aby Sawinski poznał się na tem.

Ta gra zabawiała go na chwilę.

Nagle przyszło mu na myśl, że dałoby się jeszcze uratować Lydję, która stała tuż przy nim i której świeży oddech muskał mu twarz.

— Panowie—rzekł—czy macie w tej porze na Gorochowej jakiego odpowiedzialnego urzędnika, z którym możnaby się porozumieć?

— Oczywiście, Mikołaju Władymirowiczu, oczywiście—odrzekł komisarz Zubow.—Nasz naczelnik, towarzysz Urycki, musi być jeszcze w prefekturze, ponieważ praca nasza odbywa się głównie nocą.

— A więc, może będziesz pan tak uprzejmym przedłożyć mu telefonicznie, w jak wyjątkowem położeniu znajduję się obecnie. Rzecz mogłaby się załatwić w ten sposób, a ja zachowałbym dla pana niewygasłą wdzięczność.

Komisarze zgodzili się, ale oficer zauważył, że należałoby podać nazwisko pani.

Lydja przysłuchiwała się temu wszystkiemu uważnie, nie mogąc zrozumieć, o co chodzi. Była w tem jakaś tajemnica, którą należało przeniknąć.

— Panowie chcecie wiedzieć moje nazwisko — rzekła — oto jest mój dowód osobisty.

Podała mu urzędowy papier, na którym wyszczególnione było jej nazwisko, wiek i miejsce zamieszkania.

Zubow podszedł do telefonu i w mgnieniu oka połączył się z prefekturą na Gorochowej. Zaczął od wyłuszczenia prośby Sawinskiego. Gdy Lydja dowiedziała się, o co chodzi, wstała i, zwracając się do kochanka, w najwyższem wzburzeniu rzekła pocichu:

— Jakto, Mikołaju, aresztują cię... Myślałam, że chodzi tylko o rewizję... Czy jesteś w niebezpieczeństwie?.. Co z tobą zrobią?

— Tu nie chodzi o mnie, kochanie — rzekł Sawinski.—Tak; zaprowadzą mnie do więzienia, ale wiesz, że to się zdarza dziś wielu uczciwym ludziom. Potrzymają mnie parę dni i puszczą... To—drobnostka; ale ja się troszczę o ciebie. Rozkaz jest tak głupio zredagowany, że wszystkie osoby, znajdujące się w mojem mieszkaniu, mają być także aresztowane. A choćbyś nawet miała być uwolnioną natychmiast, pragnąłbym oszczędzić ci tego okropnego przejścia...

Nie mógł mówić więcej, Lydja przerwała mu z uniesieniem:

— Skoro masz iść do więzienia, to i ja pójdę także.

Wywiązało się pomiędzy nimi starcie zdań; Sawinski tłumaczył jej, że ona będzie mogła być mu tysiąc razy użyteczniejszą, będąc na wolności, ale Lydja upierała się, że go nie opuści. Podczas tej rozmowy, prowadzonej pocichu, słychać było urywki telefonicznych pertraktacji Zubowa:

— Tak, towarzyszu Urycki... Rozumiem. Ośmnaście lat... Ach! ach!.. prześliczna... Dlatego pozwoliłem sobie zawezwać was, towarzyszu...

Nagle zawiesił słuchawkę, poskrobał się w głowę i, zwracając się do Sawinskiego:

— Niema rady — rzekł — trzeba iść na Gorochowę, ale dla was, Lydjo Sergiejewno, to nie potrwa długo.

Zdziwił się mocno, spostrzegłszy, że twarz Lidji rozjaśniła się zadowoleniem. Należało jeszcze zrewidować dalsze pokoje. Żołnierze, znudzeni czekaniem, przeszli do kuchni. Zmęczenie ogarniało stopniowo Sawinskiego i Lydję. Siedzieli obok siebie w milczeniu; Sawinski pogrążył się w ponurej zadumie; ale Lydja, o tyle młodsza, myślała tylko o tem, jak walczyć ze snem. Spostrzegła to stara Anuszka i ulitowawszy się, podeszła do nich.

— Przyrządzę śniadanie — rzekła. — Niewiele będziecie tam państwo mieli do jedzenia. Rozpalę ogień i kawa będzie gotowa za chwilę.

Pogłaskała Lydję po ramieniu i poszła do kuchni. Wkrótce potem wróciła, niosąc gorącą kawę, chleb i masło. Sawinski zaprosił obu komisarzy do stołu i zabrano się do śniadania z apetytem. Lydja wypiła dwie duże filiżanki kawy jedną po drugiej i zjadła nieskończoną ilość tartinek. Była tak uradowaną, że jej dobry humor zaraził Sawinskiego. Obaj komisarze promienieli. Nigdy jeszcze podczas wykonywania urzędowych czynności nie nadarzyła im się podobna gratka. Rozmowa, dzięki Lydji, stała się ożywioną; nie było tam bolszewickich myśliwców i burżuazyjnej zwierzyny. Było tylko czworo ludzi, których traf złączył i którzy po bezsennej niemal nocy zasiedli chętnie do stołu, aby się pokrzepić.

Jednakże trzeba było iść. Minęła już dawno szósta. Przed wyjściem z domu Sawinski polecił Anuszce, by o dziewiątej zatelefonowała do Simeonowa i powiedziała mu, że on, Sawinski, znajduje się w więzieniu, na Gorochowej.

— Mów tylko o mnie—dodał.

Wyszli. Dwóch żołnierzy zostało w mieszkaniu, ku wielkiemu oburzeniu Anuszki, która się lękała kradzieży.

Automobil czekał przed domem. Ciemno było jeszcze zupełnie; zimno przenikliwe. Obaj komisarze z wielką grzecznością usadowili Lydję i Sawinskiego na tylnem siedzeniu, a sami zajęli przednie.

W ciągu kilku minut zajechali przez obumarłe miasto na Gorochową.

XV.

NA GOROCHOWEJ.

Sień prefektury na Gorochowej zapchana była żołnierzami. Zaprowadzono Sawinskiego i Lydję do obszernego pokoju na pierwszem piętrze.

Lydja upewniona, że ją nie rozłączą z Sawinskim, nie troszczyła się o nic więcej. Doskonałe śniadanie, które zjadła przed wyjazdem, posiliło ją i orzeźwiło zupełnie. Pałała teraz jedynie ciekawością.

Znajdowali się w obszernym salonie, który musiał należeć w swoim czasie do apartamentów prefekta. Stało tam jeszcze kilka foteli i krzeseł wyściełanych, pokrytych blado-niebieskim jedwabiem, i modny, strzyżony dywan o spłukanych barwach.

W jednym kącie pokoju, poza kilku stołami, ustawionemi w półkole, pracowało dwóch urzędników. Przed nimi stał oskarżony. Był to, sądząc z wyglądu, tak zwany wówczas „burżuj", co wystarczało, aby go uznać za podejrzanego.

Urzędnicy wypełniali zwolna formularze, otwierali księgi, robili wyciągi. Ten porządek administracyjny zdziwił Lydję; nie mogła w żaden sposób pogodzić go w myśli z wyobrażeniem, jakie sobie wyrobiła o nieładzie, panującym w przybytkach teroru bolszewickiego. A w dodatku cisza tej komnaty, jej wygląd spokojny i bogaty, taki brak tragizmu w tem wszystkiem.

Lydja półgłosem podzieliła się swemi wrażeniami z Sawinskim.

On wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Biurokracja nie umrze u nas nigdy. Lenin nie zdoła jej wytępić. Nawet akta nielegalne będą zawsze redagowane formalnie.

Starał się okazywać pogodę umysłu, aby nie przestraszyć Lydji, a wysiłek, jaki czynił w tym kierunku, oddziaływał jaknajpomyślniej na jego humor.

Przyszła na nich kolej stawienia się przed urzędnikiem. Trzeba było oddać pugilares. Urzędnicy wystawili formalny kwit na znajdujące się w nim pieniądze. Ale Sawinski, który uważał pilnie przebieg badania poprzedniego „przestępcy", wsunął roztropnie kilkaset rubli do kieszeni spodni.

Dwóch żołnierzy o twarzach chudych i tępych czekało na nich przy drzwiach. Zaczęli wstępować na skręcone w ślimaka schody, których wewnętrzne otwory wychodziły na sień główną. W każdym otworze umieszczona była mitraljeza, wycelowana na drzwi od ulicy Grochowej, i żołnierz stał na straży.

— Jak oni się boją jakiegoś zamachu! — pomyślał Sawinski. — Widocznie nie czują się dość silni.

Na drugiem piętrze zatrzymali się przed małym przedpokoikiem, pełnym czerwonogwardziejców. Ich przewodnicy zamienili kilka słów ze starszym strażnikiem.

— U nas pełno, jak nabił—rzekł ten wesoło.

Na trzeciem piętrze taż sama odpowiedź.

Na ostatniem wreszcie wpuszczono ich do małego przedpokoiku, gdzie kilku żołnierzy ćmiło papierosy. Za stołem siedział młodziutki, najwyżej dwudziestoletni żydek, o czarnych kędzierzawych włosach i dzikiem spojrzeniu, który zapisywał nazwiska zaaresztowanych w leżącej przed nim księdze.

Zaczął od Lydji, poczem zapytał ją, dlaczego została aresztowana. Lydja, przypatrująca mu się ciekawie, odpowiedziała czystym głosem, nie zdradzając najlżejszego zakłopotania:

— Tego właśnie chciałabym się od pana dowiedzieć.

Żołnierze uśmiechnęli się, ale Żydek ściągnął brwi.

— Sądzę, że jesteś pani aresztowana za sprawy polityczne — rzekł z powagą.—Napiszemy: „kontrrewolucja".

Tym razem jeden z żołnierzy, wysoki drab, który nie spuszczał oczu z tej tak pięknej dzieweczki, zaśmiał się głośno.

— Zrewidować uwięzioną—rzekł urzędniczek ostro do stojącego obok żołnierza.

Sawinski drgnął i zbliżył się do Lydji.

Zwróciła się ku niemu, błagając oczyma, aby się nie sprzeciwiał. Żołnierz zawahał się, spojrzał na Lydję, przestąpił z nogi na nogę, wzruszył ramionami i wreszcie rzekł:

— A to że poco, Leonie Dawidowiczu? — Toż to przecie dziecko.

Wszyscy żołnierze okazywali milczące uznanie swemu koledze. Żydek posiniał z gniewu, ale nie ośmielił się ponowić rozkazu. Mruknął tylko pod nosem, wstał, przystąpił do Lydji i dla formy obmacał zlekka jej futro na wysokość bioder.

Gdy Sawinski odpowiedział na zadane mu pytania i gdy się upewniono, że niema przy sobie rewolweru, jeden z żołnierzy pchnął oszklone drzwi i wprowadzono ich do przeznaczonego dla nich mieszkania.

Była to wielka, kwadratowa izba o niskim suficie, słabo oświetlona jedną elektryczną lampą, zwieszającą się pośrodku na drucie. Przez jedyne okno z widokiem na dziedziniec sączyła się blada poświata, zapowiadająca niedaleki brzask.

Ckliwy, ciepły, duszący odór, złożony z oddechów więźni, potu, skórzanych butów, słomy, przegniłych desek podłogi i dymu papierosów chwycił Lydję i Sawinskiego za gardło i zatrzymał ich na progu.

Było to jeszcze gorzej, niż sobie Sawinski wyobrażał. Lydja przytuliła się do niego, ale nic nie rzekła. Po chwili oczy ich oswoiły się z pomroką, panującą w izbie, i widok, jaki ujrzeli, ścisnął im serce. Polowe łóżka, stłoczone jedno obok drugiego, zapełniały izbę, pozostawiając tylko wązkie przejście pośrodku i dwa boczne, prowadzące do dwojga drzwi otwartych w przepierzeniu na lewo.

Na stole leżał jakiś mężczyzna w płaszczu wojskowym, którym otulił sobie głowę tak, że tylko końce jego butów było widać. Na łóżkach polowych, a po części na podłodze w największym nieładzie leżeli więźniowie; często po trzech na dwóch łóżkach. Większość ich spała snem niespokojnym; przewracali się na twardych posłaniach, jęczeli, wymachiwali rękoma lub drapali się gorączkowo po karkach, które żarło robactwo. Inni, leżąc na wznak z ustami otwartemi, chrapali. W jednym kącie błyszczał czerwony punkcik papierosa, niby robaczek świętojański, zabłąkany w jakimś piekielnym ogrodzie.

Nagle rudy, garbaty człowieczek, o wynędzniałej, napół błędnej twarzy, zerwał się z legowiska, podbiegł do lampy, wyciągnął notesik, coś w nim gorączkowo napisał i, rzuciwszy podejrzliwe spojrzenie na nowoprzybyłych, wrócił na swoje miejsce.

Sawinski dostrzegł wreszcie przy stole wolną ławkę. Zaprowadził tam Lydję i usiadłszy wziął ją na kolana. Przytuliła się do niego i ucałowała go w milczeniu. I znowu opanowało ją nieprzezwyciężone znużenie. Usnęła natychmiast.

Gdy się obudziła w godzinę potem, było już widno; szary, smutny poranek zimy petrogradzkiej tak blady i posępny, że budził żal za nocą.

Lydja otwarła oczy i natychmiast zdała sobie sprawę z położenia, w jakiem się znajdowała. Zobaczyła przy sobie Sawinskiego, uśmiechnęła się do niego tkliwie, a posępna i zmęczona twarz jej kochanka rozjaśniła się wnet. Pogłaskał leciuchno rękę Lydji, opartą o jego piersi.

Tymczasem wielka izba ożywiała się zwolna. Więźniowie wstawali i przeciągali się wzdychając. Wielu zapaliło natychmiast papierosa.

Godzina snu przywróciła Lydji całą świeżość. Odzyskała zupełny spokój umysłu i wesoło przyjmowała tę całą, jak ją nazywała, awanturę.

— Teraz—rzekła żartobliwie do Sawinskiego — poznałam trochę rewolucję i wiem, że bardzo brzydko cuchnie.

Dalszy ciąg nastąpi.